NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150·— Mk., z przes. 2470·— Mk. Półrocznie 4940·— Mk. Rocznie 9880·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztową opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy **200** Marek.

Rok XIX. Kraków, 30 września 1922. Nr. 39.

Ukraińcy przy robocie



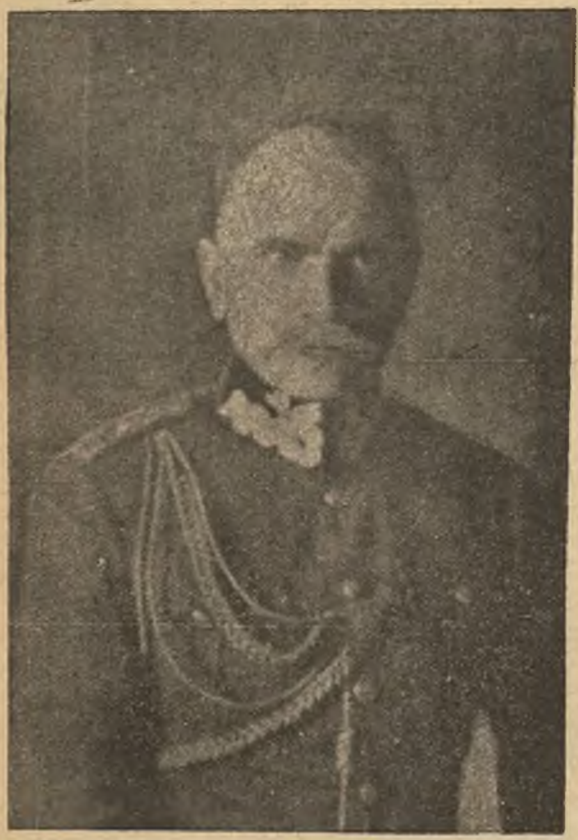
Niszczenie przez Ukraińców we Wschodniej Małopolsce polskiego mienia publicznego i prywatnego.

Nasze nowe powieści.

W niniejszym numerze rozpoczynamy druk oryginalnej powieści pióra znanej zaszczytnie Autorki, p. *Maryi Segeny* p. t.

„OTCHŁAN"

Autorka znaną jest dobrze Czytelnikom „Nowości Illustrowanych" z licznych



Pożegnanie dowódcy krakowskiego O. K.: Jenerał Aleksander Osiński, zamianowany szefem administracyi wojskowej w M. S. W.

swych prac, tak oryginalnych, jak tłómaczonych, pomieszczanych na łamach naszego pisma. Ostatnia jej oryginalna powieść, której druk ukończyliśmy nie tak dawno, p. t. *Gorączka złota,* obudziła żywe zainteresowanie wśród szerokich kół czytających, będąc jak gdyby fotografią, zdjętą z życia naszych paskarzy wojennych. Charakterystyka ich była tak trafna, a przedstawienie ich losów tak naturalne, iż odtąd nazwisko „Gawlik" stało się synonimem paskarza.

Obecna powieść, osnuta również na przejawach życia codziennego, na jakie patrzymy własnemi oczyma, kreśli losy i przejścia młodej, niedoświadczonej dziewczyny, która z prowincyonalnego zakątka dostała się w wir życia wielkomiejskiego i uniesiona została jego prądem. I *Otchłań* posiada te same zalety, jakiemi odznaczała się poprzednia powieść, przedewszystkiem więc umiejętne opanowanie tematu i barwne a żywe przeprowadzenie akcyi, utrzymującej uwagę Czytelnika w niesłabnącem napięciu od pierwszych kart do samego końca. Jej bohaterka, Marta, jest również żywą fotografią, wyjętą z galeryi typów, jakie dziś tak często spotykamy. Piękny potoczysty styl i czystość języka, to znane zalety pióra p. Maryi Segeny.

Jej pracą jest także tłómaczenie wybornej powieści *Ludwika Letang* p. t.

„Fatalny talizman".

Nazwisko Autora mówi samo za siebie, nazwisko Tłómaczki dodaje, że polski przekład nie ustępuje w niczem oryginałowi. Tłómaczka dołożyła wszelkich starań, aby myśli i intencye Autora oddać jak najwierniej i najzupełniej jej się to powiodło.

Ukraińcy przy robocie.

(Do illustracyi tytułowej.)

Wiadomości, nadchodzące z Wschodniej Małopolski, przedstawiają w nadzwyczaj czarnych kolorach stan, w jakim się ta część naszego kraju znajduje, a który się z dnia na dzień coraz bardziej pogarsza. Zaślepieni w swym fanatyzmie zwolennicy Petruszewycza sieją na całym obszarze od Sanu po Zbrucz terror, skierowany przeciwko Polakom i przeciw tym z pomiędzy Rusinów, którzy, nie hołdując ideom samodzielnej Zachodniej Ukrainy, są za zgodnem współżyciem obu bratnich narodów



Dzień „Szkoły żołnierza polskiego" w Krakowie: Aeroplan, na którym dokonywano momentalnych zdjęć fotograficznych publiczności podczas Kiermaszu na Placu Szczepańskim.

i godzą się na autonomię Wschodniej Małopolski, jako części składowej polskiej republiki.

Niema dnia, aby pisma lwowskie nie doniosły o aktach gwałtu, spełnionego na niewygodnych osobach i ich mieniu, sprawcom udaje się najczęściej ujść bezkarnie, te zaś nieliczne wypadki, gdy dostają się w ręce sprawiedliwości, stwierdzają, że są to młodzi zapaleńcy, pozostający w usługach samozwańczego rządu zachodnio-ukraińskiego pod dyktaturą osławionego Petruszewycza, rezydującego we Wiedniu, a wspomaganego materyalnie i moralnie przez Niemców i Czechów.

Ukraińcy rozpoczęli robotę na dwa fronty, starając się u państw koalicyjnych przedstawić sprawę Wschodniej Małopolski w świetle dla siebie korzystnem, w kraju zaś samym wnosząc nieład i dezorganizacyę przy pomocy tajnych związków, pokrywających gęstą siecią kraj cały.

Głównem ich dążeniem jest zmuszenie ludności ruskiej do wstrzymania się od udziału w wyborach sejmowych, każdy Rusin, będący zwolennikiem innych zasad, uważany jest przez nich za zdrajcę sprawy narodowej i jako taki traktowany. W tej antypolskiej akcyi mają im pójść na rękę i żydzi, którym zagrożono pogromami na wypadek, jeżeli zdecydowaliby się wziąć czynny udział w akcyi wyborczej.

Krwawe łuny odbijające się co noc na sklepieniu niebieskiem dają znać, że młoda Ukraina jest przy pracy. Płoną zabudowania tak polskie jak i ruskie, a szkoda w ten sposób wyrządzona przechodzi setki milionów.

Przed tygodniem obliczano ilość spalonych zbiorów na tysiąc wagonów, od tego czasu wzrosła ona w dwójnasób. Zbrodnicza ręka niszczy wszystko, co służyć ma użyteczności publicznej, wysadza się w powietrze mosty, psuje drogi żelazne i gościńce, przecina druty telegraficzne, a wszystko w tym celu, aby tym terrorem zmusić Polaków do wyrzeczenia się byłej Galicyi Wschodniej, w pierw-



Dzień „Szkoły żołnierza polskiego" w Krakowie: Jedna z atrakcyi kiermaszowych, wojenne półczołgi, ustawione na Placu Szczepańskim.

szym rzędzie zaś, aby uniemożliwić przeprowadzenie akcyi wyborczej, co nastąpiłoby wówczas, gdy Rząd polski widziałby się zmuszonym ogłosić na terenie trzech południowo-wschodnich województw stan wyjątkowy.

Marnuje się miliony bezmyślnie i bezcelowo, jedynie tylko dlatego, aby grupka nieliczna zaciekłych szowinistów mogła do czasu cieszyć się marzeniami o ujęciu w swe ręce władzy nad tą ziemią, która od sześciuset lat należała do Polski i przy niej musi na zawsze pozostać.



Naczelnik Państwa w Kołomyi: Duchowieństwo, publiczność i wojsko oczekuje na boisku „Sokoła" przybycia Naczelnika Państwa. Fot. am. M. Righetti Kołomyja

Dzień „Szkoły żołnierza polskiego" w Krakowie.

Główną zasadą, jaką nasz zarząd wojskowy kieruje się w czasie kształcenia żołnierzy, powołanych do szeregów, jest, aby prócz nabycia wiadomości fachowych, potrzebnych każdemu żołnierzowi, każdy z członków armii uświadomiony został, jakie na nim ciążą obowiązki obywatelskie i kiedyś, opuściwszy szeregi, nie znalazł się w środowisku dla siebie obcem. Kształci się zatem żołnierz we wszystkiem tem, co w dalszem życiu będzie dla niego korzystnem, a zaczyna się od podstaw, t. j., aby wśród żołnierzy polskich nie było analfabetów, ci zaś, którzy posiadają już pewne wykształcenie, mogli je uzupełnić. W ten sposób



Naczelnik Państwa w Kołomyi: Defilada 49. pułku piechoty z nowo poświęconym sztandarem. Fot. am. M. Righetti, Kołomyja

łączy się konieczne z pożytecznem, nikt bowiem nie może narzekać, że czas spędzony obowiązkowo w służbie wojskowej, jest okresem zupełnie nieproduktywnym w życiu danego osobnika.

Akcyę oświatową w armii polskiej zakrojono na bardzo szeroką miarę, to oczywiście pociągnąć musi za sobą i wydatki, idące w miliony. Skarb wojskowy bez uszczerbku dla siebie ponieść ich w całości nie może, jest zatem obowiązkiem całego społeczeństwa poprzeć skutecznie te szlachetne usiłowania i pospieszyć z wydatną pomocą. Miliony marnuje się u nas bezcelowo, gdy tymczasem akcya tak pierwszorzędnej wagi, jak przygotowanie krajowi należycie uświadomionych obywateli, napotyka na trudności przedewszystkiem natury materyalnej, moralnie bowiem, t. j. o ile nie byłoby to połączone z żadnymi wydatkami, gotowo ją wielu popierać.

Komitet, w skład którego wchodzą tak przedstawiciele wojskowości, jak i sfer cywilnych, rozpoczął w Krakowie energiczną akcyę celem przysporzenia funduszów, mających służyć na szerzenie oświaty wśród żołnierzy piątego korpusu. Aby publiczności zbytnio się nie naprzykrzać i ułatwić jej złożenie na ten cel swej ofiary, urządzono w niedzielę, 24 września b. r. w naszem mieście dzień „Szkoły żołnierza polskiego" z bardzo urozmaiconym programem, w skład którego wchodził także i kiermasz na Placu Szczepańskim, dla Krakowa nowość, do niedawna zupełnie nieznana. Głównymi inicyatorami i aranżerami tej uroczystości byli pułkownik Becker i major Piotrowski.

W niedzielę popołudniu zaroiło się na Placu Szczepańskim i sąsiadującym z nim odcinku plantacyi wraz z ulicą Dunajewskiego od tłumów publiczności, która, korzystając z pogody jesiennej, pospieszyła, aby się rozerwać i dołożyć swą cegiełkę do ogólnej budowy. Na brak urozmaicenia nie mógł nikt narzekać, przygrywały orkiestry wojskowe, tramwajarzy i kolejarzy, można się było pokrzepić w bufetach, kto zaś pragnął nabrać wyobrażenia o życiu podczas wojny, miał do tego sposobność, racząc się kiełbaskami, przygotowanemi przez wojskowe kuchnie polowe, a sprzedawanemi przez nasze panie, należące do T. S. L. Można było również, nie narażając się zupełnie na niebezpieczeństwo, dać się wyfotografować w samolocie, który od południa już oczekiwał na Placu na chętnych wrażeń napowietrznej podróży bodaj przez imaginacyę. Odbyły się także ćwiczenia gimnastyczne młodzieży z Zakładu ks. Siemaszki, prowadzone bardzo udatnie przez kap. Sieniewicza, wojenne półczołgi oglądano z ogromnem zainteresowaniem, nie brakło i kina polowego, które za nastaniem zmierzchu wyświetliło bardzo udatne obrazy, przeważnie wspomnienia z minionej wojny. Było także i innych różności wiele, a że to poszło wszystko i ładnie i składnie, zasługa w tem Komitetu, który wywiązał się najzupełniej ze swego zadania, nauczywszy się od członków amerykańskiego Towarzystwa Y. M. C. A., jak się powinno urządzać podobne zabawy.

Pożegnanie dowódcy krakowskiego O. K.

W ubiegłym tygodniu pożegnał Kraków dotychczasowego dowódcę Okręgu Korpuśnego nr. V. jenerała dywizyi Aleksandra Osińskiego, powołanego do M. S. W. do Warszawy na stanowisko szefa administracyi wojskowej.



Naczelnik Państwa w Kołomyi: Publiczność wita owacyjnie Naczelnika Państwa. Fot. am. M. Righetti, Kołomyja

Jenerał Osiński niezbyt długo bawił między nami, pozostawił jednak po sobie tak wśród swych podwładnych, jak w najszerszych sferach obywatelstwa bardzo sympatyczne wspomnienie, dewizą jego było bowiem, jak to sam w swem przemówieniu podczas uroczystości pożegnalnej zaznaczył, „gorliwe spełnianie obowiązku żołnierskiego i utrzymanie stałego przyjacielskiego kontaktu z miastem“.

Uroczyste pożegnanie ustępującego komendanta zgromadziło w salach Kasyna Oficerskiego licznych



Jenerał Sikorski na manewrach francuskich: Jenerał Władysław Sikorski, szef sztabu jeneralnego armii polskiej.

przedstawicieli wojskowości i władz cywilnych. Przybyli między innymi: wojewoda dr. Gałecki, wicewojewoda Kowalikowski, wiceprezydent miasta dr. Wielgus, prezes Izby Skarbowej dr. Greger, dyrektor policyi dr. Rękiewicz, jenerałowie Szeptycki, Minkiewicz, Truszkowski, oraz grono wyższych oficerów załogi krakowskiej.

Podczas przyjęcia, które miało charakter nadzwyczaj serdeczny, przemawiali: jenerał Szeptycki, wojewoda dr. Gałecki, wiceprezydent dr. Wielgus, jenerał Minkiewicz i major dr. Piotrowski. Podziękował głęboko wzruszony jenerał Osiński, podnosząc życzliwość, z jaką spotykał się na każdym kroku w naszem mieście i zapewniając, że pobyt w jego murach pozostanie na zawsze w jego pamięci.



Jenerał Sikorski na manewrach francuskich: Przednie straże atakującej armii „czerwonej“, przeciw „niebieskiej“ podczas tegorocznych wielkich manewrów w Bretonii.



Hafciarstwo na Podhalu: Jedna ze sal wystawy Szkoły hafciarskiej „Szarotka“ w Nowym Targu, otwartej w dniu 10. września b. r.



Podróż poślubna króla Aleksandra: Król Aleksander jugosłowiański z prezydentem T. O. Masarykiem podczas przejażdżki.

Naczelnik Państwa w Kołomyi.

Kołomyja, stolica Pokucia, gościła w ostatnich dniach w swych murach Naczelnika Państwa. Wizyta ta miała charakter wojskowy, Naczelnik Państwa, w drodze powrotnej z Rumunii, zatrzymał się na krótki czas w tem mieście, aby wziąć udział w uroczystości poświęcenia sztandaru 49. pułku piechoty, stacyonowanego w Kołomyi.

Ludność polska zgotowała Naczelnikowi serdeczne i owacyjne przyjęcie, a wzięły w niem udział także i niektóre sfery ruskie, przedewszystkiem zaś delegacya Huculów, oraz dzieci z ruskiej szkoły. Nie poszło to w smak panom z pod znaku Petruszewycza, dali też wyraz swemu niezadowoleniu. Przewodniczący owej delegacyi, Iwan Petrejczuk, z Przewoźni powiatu kosowskiego, zamordowany został, gdy wracał do domu, przez niewyśledzonych sprawców, którzy trupa ograbili przy tej sposobności. W tym samym czasie dosięgł nóż skrytobójcy w Kołomyi Emiliana Karaszkiewicza, byłego redaktora „Pokucia“, z przekonań Starorusina, znanego z swych sympatyi dla Polaków. Ciężko zranionego, gdy wieczorem wychodził z kina

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

1)

I.

Markiz de Rochegrise umierał.

Z początkiem zimy 19.. stan jego zdrowia pogorszył się tak poważnie, iż lekarz jego domowy pan Tournel stracił już wszelką nadzieję. Przywołany z Paryża profesor potwierdził tylko zdanie kolegi.

Markiz miał lat pięćdziesiąt kilka, lecz wyglądał o wiele starzej. W głęboko osadzonych jego oczach widział bezustanny błysk tajemniczej jakiejś, ukrytej trwogi, a ruchy rąk wychudzonych zdradzały żywy niepokój i podniecenie.

Ostre zapalenie nerwów ogarnęło już całe ciało, sprowadzając częściowe sparaliżowanie członków poszczególnych, wywołując u chorego gwałtowne ataki bólu i chwilowy zanik przytomności.

Wieczoru tego ataki te powtarzały się coraz liczniejsze i silniejsze.

W chwilach, kiedy ból łagodniał cokolwiek, z ust markiza wybiegały urywane, z trudem wymawiane słowa.

— Gdzie jest księżna?... Czy nie przybyła jeszcze? Dlaczego niema jej dotąd przy mnie... Ah! Boże! jak ja cierpię... Noc nadchodzi... noc nadchodzi i znowu te widma przeklęte zaczną krążyć koło mnie... Czy jest tu kto? Ratunku! ratunku! Czy już nikt nie zlituje się nademną!

Na to rozpaczliwe wołanie z głębi pokoju, tonącego już w zmroku, wyłoniła się przygarbiona postać starego służącego.

— Jestem tu panie markizie, jestem. Nie odchodzę ani na chwilę.

— Ah! to ty, Benoit?

— Tak, panie markizie.

— Która godzina?

— Dochodzi piąta.

— Czy przyniesiono pocztę z Langeac?

— Tak, panie markizie.

— Listy? gdzie listy?

— Listonosz pozostawił tylko dzienniki.

— Kłamiesz, oszukujesz mnie? Gdzie listy!

— Jak pan markiz może przypuszczać coś podobnego — wymówił z wyrzutem stary służący.

— Nie! nie, Benoit... wiem, że jesteś mi wiernym i oddanym... że uczyniłbyś wszystko, aby mi przywrócić zdrowie i życie... a nieobecność jej i milczenie, to przyspieszenie mojej śmierci... Oh! żyć! żyć! Boże! Czyż mam umrzeć, nie ujrzawszy jej... Oh! ten lęk! ten lęk straszny!

Markiz uniósł się nagle na łóżku i przerażonemi oczami wodząc po pokoju, rozpaczliwie krzyczeć zaczął ochrypłym, nieludzkim głosem:

— Światła! światła! Wypędź te ciemności, Benoit. Zapal wszystkie lampy i świece. Prędko! prędko! Boję się! Oh! jak się boję śmierci!

Stary służący pospieszył wypełnić życzenie chorego i wkrótce obszerny pokój, o ciemnych, sukiennych obiciach, zajaśniał potokami światła.

Światło łagodząco podziałało na markiza. Głowa jego opadła na poduszki, przymknął spieczone gorączką powieki i wyszeptał cicho:

— Julia! córka moja!

W tej chwili drzwi pokoju otworzyły się ostrożnie. Wszedł doktór Tournel i powolnym krokiem zbliżył się do łóżka chorego.

— Kto tu jest? — wzdrygnął się markiz.

— To ja, doktór. Spokojnie, spokojnie, panie markizie. Proszę się nie poruszać! Gdyby pan wiedział, jak każdy ruch panu szkodzi... No jakże? Nie czuje się pan lepiej dzisiaj?

— Nie... nie... to już koniec... czuję to... umieram — wyszeptał markiz, z trudem chwytając powietrze.

— Co znowu! Od trzech miesięcy słyszę to codziennie od pana!

— Umieram! - powtórzył markiz głosem pełnym przerażenia i lęku.

Doktór ujął jego rękę, szukając pulsu i drgnął nagle.

— Benoit... prędko! lodu! Trzeba natychmiast robić okłady na głowę — rozkazał zaniepokojony.

Przeciągły dreszcz wstrząsał ciałem markiza.

— Nie potrzeba! już nie potrzeba — jęknął głucho — zrozumiałem... to śmierć! to śmierć!

Doktór Tournel milczał, wpatrując się uważnie w zmienioną twarz chorego.

— Ile czasu pozostaje mi jeszcze do życia? — zapytał markiz nagle.

Głos jego w tej chwili był stanowczy i pewny...

Doktór zawahał się.

— Chcę wiedzieć... mam prawo.

— Jeszcze dni kilka — odrzekł w końcu pan Tournel, uważając, że obowiązkiem jego jest choć cień prawdy powiedzieć — o ile pan będzie spokojny i nie będzie się podniecał złemi myślami.

— A w przeciwnym razie? Czy pozostaje mi jeszcze chociaż kilka godzin? — badał dalej gorączkowo markiz.

— Zapewnie.

— A więc, mój doktorze, proszę mi przygotować płyn jakiś wzmacniający, potrzebuję sił i energii — rozkazywał chory, który zdawał się nabierać odwagi w chwili zbliżającej się śmierci.

— Dobrze — odparł doktór z prostotą, rozumiejąc doskonale stan duchowy markiza. — Nie mogę już panu niczego odmówić.

Mówiąc to, spiesznie wyszedł z pokoju, aby przygotować żądany napój.

— Benoit! Benoit! — zawołał chory.

— Jestem tu panie markizie — odparł służący, nadbiegając śpiesznie.

— Każ natychmiast wysłać powóz do Monestier — po księdza... słyszysz! Niech go tu sprowadzą koniecznie, rozumiesz, Benoit... koniecznie.

— Rozumiem, panie markizie.

— Prędko... prędko... idź, Benoit... pospiesz się...

Stary służący wybiegł zdumiony. Dziwne rzeczy działy się w zamku Rochegrise! Nie widziano tu księdza od lat dwudziestu blisko! Czyżby naprawdę markiz chciał się pogodzić z Bogiem przed śmiercią!?

Wyrzuty sumienia.

Markiz de Rochegrise pozostał sam w pokoju i z westchnieniem ulgi opuścił głowę na poduszki, zda się uspokojony trochę swojem postanowieniem.

Markiz Edmund-Franciszek de Rochegrise był ostatnim męzkim potomkiem starej rodziny arystokratycznej de Rochegrise.

Prawem pierworodztwa, po śmierci ojca objął tytuł markiza i prawie cały pozostały po nim majątek. Młodszy brat jego, mniej prawem upośażony, jeszcze w młodych latach postanowił wyjechać z kraju i w obcych krajach szukać szczęścia. Osiadł w Indyach, gdzie wiódł życie dosyć awanturnicze, ożenił się w lat parę z córką księcia indyjskiego — następnie zginął w potyczce z Anglikami, pozostawiając dwoje dzieci: Jerzego i Emmę.

Co się stało po jego śmierci z żoną jego i dziećmi, o tem się nikt nigdy nie dowiedział. Słuch o nim zaginął zupełnie.

Markiz de Rochegrise zaś osiadł w zamku swoich przodków i ożeniwszy się z hrabianką Ewą de Tremel-Saint-Cat, poświęcił całe życie kaprysom i wymaganiom kobiety pięknej i dumnej, dla której żądza błyskania i władzy była jedynym celem życia.

Markiza, wkrótce po ślubie, zawezwała do zamku krewnego swojego, Alberta de Lognez i powierzyła mu administracyę całego majątku. Odtąd służba słuchać musiała tylko jego rozkazów i do niego odnosić się ze wszystkiem. Markiz de Rochegrise znosił w milczeniu upakarzające stanowisko, narzucone mu przez żonę, lecz w duszy jego z dniem każdym wzrastała niechęć i nienawiść do pana de Lognes.

Lekceważony i zaniedbywany przez markizę, pan de Rochegrise przelał całe swoje przywiązanie i potrzebę miłości na jedyną córkę swoją Julię. Dla wywołania uśmiechu na jej usta gotów był popełnić bez zastrzeżenia najohydniejszą zbrodnię. Ta miłość ojcowska z biegiem lat przeobraziła się w nienaturalne, chorobliwe uwielbienie.

Markiz był człowiekiem bogatym.

Ale rozrzutność i namiętność zbytków markizy, popierana przez administratora zamku, pana de Lognes, nadwerężyła dosyć szybko miliony, nagromadzone przez ojca pana de Rochegrise.

Na kilka już lat przed zamążpójściem Julii położenie okazało się zachwiane. Dla ratowania honoru nazwiska musiano sprzedać większą część lasu i zaciągnąć większy dług hipoteczny. Zdawało się więc, że w tych warunkach projekt małżeństwa pomiędzy Julią de Rochegrise a świetnym hrabią de Valbreuse musi uledz zmianie, tembardziej, że hrabia żądał, aby posag narzeczonej, mający wynosić dwa i pół miliona, wypłacony został gotówką w dniu zawarcia kontraktu ślubnego.

Ale nagle przykre położenie uległo zmianie, ślub się odbył i blask rodziny Rochegrise zajaśniał w całej pełni. Mieszkańcy okolicy zauważyli tylko, że od tego dnia stary markiz zapadł na ciężką jakąś melancholię, która niebezpiecznie podkopywać zaczęła jego zdrowie.

Stał się milczący, ponury, unikał każdego towarzystwa, nawet towarzystwa żony, a widoku pana de Lognes szczególnie nie mógł znosić.

Wkrótce zamek de Rochegrise opustoszał, towarzyskie w nim życie zamarło zupełnie. Markiz z uporem maniaka nie wychodził prawie ze swojego pokoju; niekiedy wyjeżdżał sam na dalsze polowania, które były zawsze jedną z najmilszych jego rozrywek. Jedynie tylko Julia miała wstęp wolny do ojca. Wymagał nawet, aby przyjeżdżała go odwiedzać co czas jakiś. Jeżeli zaś już kilka tygodni upływało od ostatniej jej bytności, stawał się niespokojny i niecierpliwy, wysyłał do niej naglące listy i telegramy — czasem nawet nie mogąc zwalczyć nurtującego go niepokoju, pierwszym lepszym pociągiem jechał do Paryża. A kiedy stawał przed nią niespodzianie, pierwszem jego pytaniem było:

— Julio, powiedz mi, moje dziecko, czy czujesz się szczęśliwą?

— Ależ tak, ojcze, tak — odpowiadała niechętnie, znudzona tem upornem zainteresowaniem się ojca.

— Mówisz szczerze!?... całkiem szczerze?...

— Tak, ojcze...

— Ah! to dobrze! to dobrze... bo gdybyś ty, Julio, miała nie być zupełnie szczęśliwą... to byłoby zanadto straszne...

Markiz wtedy pozostawał dwa dni w domu zięcia i córki, poczem powracał, aby z powrotem zamknąć się w swoim pokoju, nie chcąc widzieć nikogo.

W czas jakiś po ślubie córki markiz przystąpił nagle i nie uprzedzając nikogo, do gwałtownego przebudowania zamku.

Kazał zwalić niektóre wieże i krużganki, pozostawiając tylko nietknięte obszerne galerye i sale parteru, piętro zaś pierwsze i drugie przerobił zupełnie, stosując się do mody nowoczesnej.

W jednej z tych sal dolnych, które zachowały swój surowy charakter, leżał właśnie teraz markiz, złożony paromiesięczną chorobą, oczekując z utęsknieniem przybycia córki, wzywanej codziennymi listami i depeszami.

Julia nie zjawiała się jednak, a cień śmierci uparty już niezwalczony krążył nad czarnem, hebanowem łożem, na którem spoczywał ostatni męzki potomek starego rodu Rochegrise.

Drzwi sypialni otworzyły się ostrożnie. Wszedł doktor Tournel, trzymając w ręce flakonik, zawierający uśmierzający napój, żądany przez markiza. Za nim szedł Benoit, niosąc wiaderko pełne drobnych kawałków lodu. Doktór Tournel chciał przyłożyć kompres z lodu do rozpalonego czoła chorego, ale markiz odsunął go ruchem ręki.

— Nie! zostawcie mnie w spokoju. Dajcie mi tylko kropli wzmacniających. — Dziękuję — szepnął po chwili, kiedy doktor wlał mu łyżeczkę płynu w usta... — Dziękuję doktorze i... żegnam — dodał, usiłując ująć rękę pana Tournel.

— Co znowu, panie markizie? — zaprzeczył doktor. — Do widzenia, do jutra rana... A może życzy pan sobie, abym przepędził noc całą tutaj?

— Nie! nie — żegnam panie doktorze — powtórzył smutnie markiz.

I nieruchomy, blady, przymknął zsiniałe powieki. Doktór Tournel patrzał na niego długą chwilę, poczem wyszeptał do siebie:

— Zdaje się, że zrozumiał. Przyjął swój los lepiej, niż przypuszczałem. — Benoit — zwrócił się do starego służącego — w razie silniejszego osłabienia proszę dać markizowi łyżeczkę tych kropli, ale nie więcej — rozumiecie?

— Dobrze, panie doktorze... ale niech mi pan powie z łaski swojej — wymówił cicho, zbliżając się ostrożnie do doktora — czy naprawdę grozi panu markizowi niebezpieczeństwo...

— Jutro będzie po wszystkiem — odpowiedział pan Tournel.

— Ah! biedny pan markiz... Taki bogaty, taki znakomity pan... i on także odejść musi tam, gdzie wszyscy... co za los.

Zgnębiony tą wiadomością, Benoit po odejściu doktora pogrążył się w wielkim fotelu i zapatrzył się w ogień.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

1)

I.

Pociąg pospieszny wiózł Martę do Warszawy. Przez lekko zapotniałe szyby przesuwał się w silnych, skróconych rzutach siny krajobraz gór. Szara, puchowa mgła osiadła na nich jak skłębiona, gęsta nić pajęcza, wchłaniając w siebie ostre zarysy i wypukłości.

Marta, wciśnięta w róg przedziału trzeciej klasy nieruchomem, szklanem spojrzeniem wiodła po tym monotonnym obrazie, ożywionym gdzieniegdzie jasną plamą, przysiadłego u podnóża gór domu, lub strzelistością wysmukłej wieżyczki kościoła zabłąkanego tu niespodzianie.

Marta jednak zapatrzona upornie w inne zupełnie obrazy wypełniające jej myśli, nie widziała nic zgoła.

Ani banalnej brzydoty, brudnego, z użytego przedziału o wytartych, nieprzytulnych ławkach, ani różnorodności typów przygodnych towarzyszów podróży zapadających już w nudę i martwotę nieodłączną perspektywie spędzenia kilku lub kilkunastu godzin w niemiłej atmosferze niewygodnego i zimnego przedziału. Nie widziała, nie odczuwała nic, nawet raptownych zatrzymywań rozpędzonego pociągu osiadającego na szynach z głuchym zgrzytem żelaziw, przed niektórymi przystankami. Nie słyszała donośnych, monotonnych nawoływań konduktorów, trzaskania drzwiczek, przeciągłego gwizdu i sapania ruszającej pracowicie maszyny.

Obecne, migawkowe przejawy zewnętrznego życia, uchylały się zupełnie z pod jej świadomości, nie mącąc wytycznej linii przeżywanych w skupieniu myśli.

Marta jechała do Warszawy!

Poza tą jedyną, niezbitą prawdą, poza tym niezaprzeczalnym, radosnym faktem, wszystko inne było niczem.

Więc nareszcie cel jej żmudnych, upartych starań urzeczywistniony został. To, co niedawno jeszcze było tak nieprawdopodobnem, co tak odbiegało od przyjętej już z rezygnacyą, istniejącej formy jej życia — przyobleklo się w kształt rzeczywisty!

Jechała do Warszawy! Do tego strasznego, a rozkosznego miasta, którego wyczuwana wizya wypełniała tyle bezsennych jej nocy, skrócała dnie i godziny spychane z miary czasu z niechęcią i w buncie wewnętrznym.

Straszne, rozkoszne miasto! Takie pojęcie wyrobiła sobie niem Marta z opowiadań ludzi chętnie pragnących olśnić jej młodą i surową wyobraźnię, z dorywczych, fantastycznych opisów, wyczytanych w jakichś książkach, z przeczuć wysnutych z głodnej, pragnącej duszy!

Miasto potężnego, wiecznego życia! Czarodziejskie miasto światła i blasku, w którym się dusza skąpie aż do olśnienia, miasto wiecznej radości, upojenia i szału! Cudowne, fantastyczne. Ziemia obiecana, dla Marty wychowanej wśród zimnych, surowych gór, prostoty i nędzy życia przyjmowanych z przymusem i nienawiścią!

I tak jak w bajce!

Biednemu, szaremu Kopciuszkowi jakiś dobrotliwy czarodziej przypina złote skrzydła i oto promienny, gwiazdzisty szlak wysnuwa się przed nim — do lotu, do szczęścia! do sławy!

A że otwarto przed nią tak nagle tę drogę — Marta się dziwi.

Bo teraz, ta przyszłość, która ją czeka, do której dąży całą siłą młodego, ufnego pragnienia, tak bardzo odbiegła, tak bardzo odchyliła się od tej znienawidzonej przeszłości — jarzma nędzy i upokorzenia! Na wspomnienie pierwszych lat młodości przeżytych w rodzinie Marta wzdryga [illegible] nawisłnem spojrzeniem żegna ostatni [illegible] ny już łańcuch gór spływający miękk[illegible] linią ku polom obszernym i równinom. [illegible] o co było dawnem jej ży[illegible] pozostało poza nią.

Nie wróci prędko do tych gór, których piękna i spokoju nie umiała odnaleźć dusza zgorzkniała. Nie zadrga serce tęsknotą do domu rodzinnego, co więzieniem jej był. Nawet wspomnienie matki, żegnającej ją z jakąś bolesną trwogą i rezygnacyą nie zaćmi rozkosznej wizyi wypełniającej obecnie całą jej myśl, całe istnienie!

Nędzne, szare stworzenie, dźwigające na pochylonych barkach wieczne jarzmo niewoli!

Zabiedzone, bezmyślne już stworzenie, wyczerpane ciągłymi porodami i troską o chleb codzienny. W wypłowiałych jej oczach, zaczerwienionych od bezustannego płaczu, zagasła już ostatnia iskierka życia i człowieczeństwa, czai się w nich jedynie instynktowna pokora i lęk dręczonego zwierzęcia!

To już nie jest nieszczęście, lecz karygodne wyzbycie się wszelkich praw, bierne lenistwo i odrętwienie duszy, znieczulonej na wszystko, bezmyślny instynkt samicy, w której mężczyzna zabił wszelką godność i dumę za cenę niewielu chwil niepewnych rozkoszy i przymusowego macierzyństwa.

Marta nie chce i nie stanie się podobną do matki! Rozumiejącemi już wszystko oczami patrzała na wstrętną tragedyę jej codziennego życia.

Patrzała uważnie, chcąc dopatrzeć się czegoś, coby nędzę fizyczną i moralną tej matki uszlachetniło w jej oczach, uczyniło jej cierpienie bezwinnem, godnem współczucia i litości.

Ale ani tego współczucia, ani litości Marta dla matki w sobie znaleźć nie mogła.

Ojciec jej, nauczyciel ludowy w klimatycznej osadzie górskiej, powracał co dnia do domu pijany i zezwierzęcony. Wieczory i noce spędzone w atmosferze ohydnych scen, których Marta była przymusowym świadkiem, uczynił ją przedwcześnie dojrzałą. Wtedy to poznała rzeczy, od których wzdrygała się jej młoda dusza! Poznała, w jakim stopniu kobieta, pozbawiona świadomości najelementarniejszych prawd życiowych — zatracić się nie może, spodleć, stać się powolną i bezbronną wobec brutalnej, zwierzęcej siły mężczyzny i jego wrodzonego egoizmu.

Poznała wyzysk i bezwzględność jednej strony, przyjmowanej przez drugą stronę z rezygnacyą źle pojętego obowiązku, z poddaniem się instynktom najniższym, którymi nie rządziła już wola żadna.

Wyrwać się z domu, otrząsnąć się z tej atmosfery zabijającej jej młodość, było dla Marty od lat kilku pragnieniem jedynem.

Najniespodziewaniej nadarzyła się ku temu dobra sposobność.

Po ukończeniu w miejscu szkoły powszechnej, matka za namową jakiejś praktyczniejszej sąsiadki oddała Martę do jednej z większych pracowni miejscowych dla nauki kroju. Rozmowy starszych pracownic i towarzyszek, pragnienie ich złączone z nadzieją przyszłości, utrwaliły tylko Martę w powziętym zamiarze. Wstąpiła w nią jakaś moc i przekonanie silne, że ona tylko jedna pokierować może swojem życiem i że idąc w tym kierunku, tylko na siebie liczyć może. Poczuła w sobie prawo rozporządzania własną osobą, nie oglądając się na nic i na nikogo.

Straszne i nędzne życie matki było dla niej dostatecznie odstraszającym przykładem, by i jej życie tą samą drogą pójść miało.

Przedewszystkiem uniezależnić się musi od wpływów domowych, a potem, kiedy już pewną nogą stanie na gruncie życia, potrafi życie to nagiąć do siebie, ujarzmić w dowolną dla siebie formę. Marta więc cierpliwie chodziła do pracowni, starając się jak najwięcej pojąć i nauczyć, w oczekiwaniu chwili, która będzie pierwszym zacżątkiem jej wyzwolenia.

Chwila ta nadeszła prędzej, niż się tego spodziewać mogła.

W tym czasie zjechała do Zakopanego na sezon letni Luna Sokolicz, znana gwiazda jednego z estradowych teatrzyków w Warszawie.

Kiedy Marta zobaczyła ją po raz pierwszy w pracowni, dokąd artystka przyszła z jakiemś zamówieniem, serce jej zabiło żywiej podziwem i instynktowną zazdrością.

Jak zjawa promienna, nęcąca, spowita w cienkie batysty i koronki, woniejąca jakimiś egzotycznymi zapachami, przesunęła się po surowej pracowni, wytworna, stylowa postać pani Luny. Pochylone, szare postacie dziewcząt wyprostowały się jak pod uderzeniem prądu elektrycznego, blade, anemiczne twarze rozgorzały gorącą łuną krwi pulsującej żywiej, w zmęczonych oczach zajaśniał blask zbuntowanej młodości!

Stać się podobną do niej! Być tą, która rozsiewa dokoła siebie czar piękna i beztroski życiowej! Chodzić pomiędzy ludźmi w aureoli sławy i uwielbienia, jak bóstwo niedościgłe i potężne — modliły się małe duszyczki pracownic, korząc się przed urokiem, który spadł na nie nagle!

I jawienie się Luny Sokolicz w pracowni, gdzie dotąd widziano tylko dobrze już znane, skromne klientki miejscowe — stało się wydarzeniem niezwykłem.

Młode, przypylone już przyjętą z konieczności banalnością życia, dusze, otrząsnęły się na chwilę, ożyły, biegnąc ochotnie ku niedościgłym marzeniom...

Po wyjściu pani Luny głęboka, brzemienna w myśli gorące cisza zaległa pracownię. Zmęczone, anemiczne głowy jeszcze niżej pochyliły się nad nudną, codzienną robotą, przeżywając w skrytości odebrane wrażenie.

Wieczorem dopiero, przy wyjściu, posypały się szepty zrazu stłumione, potem coraz głośniejsze, krzyżowały się wykrzykniki, westchnienia żalu i podziwu.

Marta tej nocy nie spała wcale.

Więcej może niż na inne, zjawisko Luny podziałało na nią.

Ta piękna, roześmiana pani Luna przybyła z Warszawy i wkrótce tam powrócić miała.

Więc tam daleko, w tem wielkiem mieście żyją istoty podobne?! Żyją istoty nieznające tez upokorzenia i nędzy, nieznające ohydnego lęku przed utorowaną już losem złą przyszłością. Śmiałe, pewne swojej wartości idą tam, gdzie iść chcą, omijając zręcznie kałuże i kamienie przydrożne!

Gdyby kto Marcie powiedział w tej chwili, że ten promienny blask rażący jej oczy, pokrywa ponure i zimne cienie, że ten kwiat barwny odurzający wonią, nosi w sobie już może zarodek zniszczenia i przedwczesnego przekwitu — roześmiałaby się serdecznie.

Pani Luna, z artystycznie upiększoną twarzą, dzwoniącą złotemi branzoletami i brelokami, owiana zapachem najwybredniejszych perfum, artystka sławna i oklaskiwana przez miasto całe, była dla niej uosobieniem szczęścia, a usamowolnienie się kobiety od trosk i szarych przykrości codziennego życia.

Stać się we wszystkiem podobną do niej, było za śmiałem marzeniem. Lecz może choć parę promieni z jej olśniewającego blasku zapożyczyć od niej będzie mogła. Choć parę stopni postąpić wyżej, dzięki jej przykładowi i pomocy.

Postanowiła więc, zanim pani Luna odjedzie, dotrzeć do niej, uprosić jej rady i pomocy w tych pierwszych samodzielnych krokach, które jej miały utorować drogę do upragnionej zmiany życia.

W parę dni, kiedy zamówiony przez artystkę peignoir ukończony został, uprosiła właścicielkę pracowni o pozwolenie odniesienia go do pensyonatu.

Blada ze wzruszenia, drżąca weszła do mieszkania pani Luny, a kiedy po godzinie wychodziła stamtąd, oczy jej gorzały nadzieją zwycięstwa.

Pani Luna, ujęta przedewszystkiem jej naiwnym podziwem i uwielbieniem wyrażającem się w gorących, szczerych słowach bijących ku niej jak odurzające opary kadzideł, raczyła się nią zainteresować i zapewniła protekcyę swoją w razie przybycia Marty do Warszawy. Chwilowy poryw swojej dobroci udokumentowała nawet w posób bardzo praktyczny, wsuwając w rękę Marty, kiedy ją żegnała, parę banknotów wraz z adresem swoim wypisanym na wykwintnym bilecie wizytowym.

I oto teraz Marta, przełamawszy instynktowną niechęć matki, niezrażona przekleństwami ojca, tracącego w niej nie złą siłę roboczą z domu, jechała do Warszawy.

Świt już bielał. Przez zamglone szyby wagonu wdzierało się szare, smutne światło listopadowego dnia. Zakopcona lampka jakgdyby wyczuwając jeszcze nędzniejszą brzydotę swoją, dogasała powoli, nie walcząc już nawet z tem światłem, które ufne w prawo swoje pragnęło się tu rozpanoszyć samowładnie.

Nabrało ono już na tyle siły, że brutalnie, bezwzględnie obejmować zaczęło wnętrze przedziału wypłaszając z kątów ostatnie znikające cienie nocy. Nielitościwe w niedyskrecyi swojej zatrzymywało się na twarzach i ubraniach uśpionych podróżnych, uwydatniając nieestetyczny ich wygląd i zmęczenie. Blade, poszarzałe twarze, z zaczerwienionemi powiekami okazały się teraz w całej swojej prawdzie, nie ukrytej pod szablonową maskę towarzyskiego przymusu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MAURYCY JOKAJ.

BIEDNA STARUSZKA.

WSPOMNIENIE Z CZASÓW MŁODOŚCI.

Dawno już, bardzo dawno temu.

Było to wtedy, gdy po raz pierwszy zaprowadzono mię do szkoły, a urodziłem się w roku 1825.

Byłem wówczas tak malutkim chłopcem, iż ledwie spoglądać od ziemi i ciężki psałterz dźwigać mogłem, ująwszy go oboma rękami.

Jednego dnia mój dobry ojciec zaprowadził mnie za rękę do strasznie dużego budynku z grubemi murami, sprawiającemi zawrót głowy kamiennemi schodami i nieskończonemi korytarzami.

O! jakiemiż olbrzymami wydali mi się starsi studenci! Ileż musieli umieć z tego czego ja nic nie umiałem!

Mój dobry ojciec otworzył jedne z drzwi wiodących na korytarz i trzymając mię za rękę, wpuścił przed sobą do wnętrza.

Trzysta dzieci w moim wieku siedziało tam na trzydziestu trzech ławkach. Straszliwe państwo, w którem jedynie dzieci mieszkają. Na ścianie wisiała niezwykłych rozmiarów tablica z przerażająco wielkiemi literami. Na tę wskazywał wyniośle spoglądający mężczyzna długą laseczką; a obóz dziecięcy wygłaszał: „a, b, ab, był tu drab, porusz go, on cię łap!" Gdy nas zobaczył ów pełen godności duży jegomość przy tablicy, schował laseczkę pod pachę i podszedł ku nam z ukłonem, Ś. p. ojciec mój powiedział, iż przyprowadza rekruta, z którym atoli wiele trudu mieć nie powinien.

Mężczyzna pogłaskał mnie po gładko ostrzyżonej głowie i spytał jak się nazywam?

Odpowiedziałem: nazywam się „Maurycy".

Roześmiał się. Szczególne imię. Zawstydziłem się ogromnie.

Tamte chłopcy z pewnością będą się dziwić, iż kogoś nazwano Maurycy, zamiast jak przystoi Antoni, Jan, Stefan itp.

Duży mężczyzna, którego chłopcy podnoszący palce do góry „panem rektorem" tytułowali, odprowadził mego dobrego ojca do drzwi, poczem powrócił i umieścił mnie między ubranym w surducik i bosonogim studentem. Bosonogi był pierwszym; gdyż tu rangę stanowiła zasługa. Był bardzo poważny i obyczajny, a tak pilnie usiłował pomiędzy liniami okrągłe litery jedną przy drugiej ułożyć, że aż z wielkiej gorliwości oczy i usta otworzyły się szeroko.

Za to sąsiad w surducie był rozpuszczonym chłopcem. Zapiamiwszy cały zeszyt atramentem zrobił z niego łapkę na muchy, wkładał tam jedną po drugiej, wzywając mię do pomocy,czego za wszystkie skarby świata nie byłbym uczynił. Zaczął też szydzić ze mnie; mówił zawsze: „Mau-ryc" czego wstydziłem się nadzwyczaj a nie mogłem oddać mu zniewagi, gdyż nazywał się pojedynczo: Gyuri (mów Djuri).

Potem przyszła kolej na czytanie. Rektor mię także wywołał z ławki, a biorąc między kolana wskazał na elementarz i nader uprzejmie zażądał, żeby mu powiedzieć co tam są za litery? Myślał, że więcej nie umię!

Oho! moi kochani rodzice w domu już nauczyli mię czytać, pochwyciłem przeto elementarz oboma rękami i zacząłem szybko wygłaszać zawarte tam zdania jedno po drugiem aż do zatrzymania oddechu. Pan Rektor pogłaskał mię po głowie i rzekł, że rzeczywiście idzie już całkiem dobrze.

Płonęło mi oblicze, iż ledwie widziałem litery. Byłem potem nieraz chwalony, lecz nigdy żadna pochwała nie brzmiała w uszach moich tak słodko jak owa pierwszego mego nauczyciela, gdy płynnie z elementarza czytałem.

Ach! a potem w domu jakże byłem przyjmowany! — jak po sławnem zwycięztwie powracający bohater! Ku czci mej ciotka upiekła tort ze śliwkami, służący zaś patrzali z podziwem, gdy siedząc dumnie w morwowej altanie głośno uczyłem się katechizmu i ciekawych umiejętności podróżnego: „Zwierciadła historyi", które u nas kalwinów w Węgrzech od wieków było używane.

Cóż się stało z trzystu trzydziestoma uczniami, którzy ze mną wówczas do pierwszej klasy w Komornie chodzili? Większej części z nich nie widziałem już po wyjściu ze szkół nigdy. A gdy wyrosłem na takiego olbrzyma, jak oni byli wtedy, gdy przeskakiwali po cztery stopnie odrazu ku memu podziwieniu, było nas zaledwie dwudziestu w wyższej klasie. Podczas tego czasu jednych zabrali szewcy i krawcy, innych znów śmierć skosiła itd.

Z owego całego tuzina jeszcze ten i ów chodzi ze mną do szkoły, do tej wszelako, gdzie najmędrszy mistrz: „życie" z nigdy niewyczerpanej księgi: „doświadczenia" nas poucza. Obecnie kilku i tę szkołę skończywszy, spoczywa cicho w łonie matki ziemi. Ci umieją już wszystko. Dwóch lub trzech żyje szczęśliwie, innym ciężko idzie, a o niektórych nie wiem nic zgoła.

Jednego z rówieśników pamiętam bardzo dobrze, jakkolwiek w niższych klasach jeszcze mnie porzucił. Był to mój pierwszy sąsiad, mały Gyuri.

Był również żywym jak swawolnym. W spinaniu się na drzewo, w łyżwowaniu, w naśladownictwie ptasich głosów, i w robieniu piórników nikt mu nie wyrównał.

A jak umiał zręcznie pokonać większych chłopców, którzy pobici z płaczem szli do rektora na skargę! Z jakim apetytem zajadał niedojrzałe brzoskwinie i jak bezlitośnie drażnił psy zbłąkane! Podziwiałem go, lecz w żaden sposób iść w jego ślady nie mogłem.

Byłem za bojaźliwy, żeby nie rzec za tchórzliwy do takich rzeczy. Podczas, gdy inne roztropniejsze dzieci grały w piłkę i biegały swobodnie, ja w najzaciszniejszym kątku naszego ogrodu budowałem domek z łodyg kukurudzanych, gdzie wsuwałem się z rozkoszą, bowiem wyrzynałem tam różne gatunki broni przeciw wymarzonym nieprzyjaciołom i stawiałem pomniki pogrzebanym w małych dołkach jedwabnikom. Potrzebna do tej ceremonii dzwonnica miniaturowych rozmiarów stała obok, a napisy nagrobkowe, które układałem ślicznie do nich, jakoteż dla poległych bohaterów były w pogotowiu.

Jednego dnia w sobotę po południu, gdy nie było szkoły, kolega Gyuri odwiedził mię w owej kukurudzowej fortecy, obok jedwabnikowych pomników.

Lecz zabawa moja nie przypadła mu do gustu.

— Jesteś zupełnie takim jak babcia moja — rzekł, kręcąc nosem — która także bawi się tylko trumnami, podobalibyście się sobie niezawodnie.

— Trumnami? — spytałem zdumiony.

— Tak — odparł Gyuri — ma nawet trzy trumny, w które kładzie się na przemiany ku naszemu przerażeniu. Wyciąga się jak nieżywa i oto tylko jeszcze się troszczy, czy ją wspaniale pochowają.

Ciekawość moja zaostrzona została w najwyższym stopniu, ucieszyłem się więc niemało, gdy Gyuri przy rodzicach zaprosił mię na następne popołudniu do siebie i w istocie o oznaczonej godzinie przyszedł po mnie ze służącym.

Rodzice jego mieszkali w pięknym domu z zieloną bramą, gdzie rozjuszony lew trzymał w zębach pierścień od młotka. Wszystkie okna wychodzące na ulicę były zakratowane, drzwi zamknięte.

Długim korytarzem przez kuchnię weszliśmy do dziecinnego pokoju. Tu Gyuri natychmiast rozpoczął działalność swoją. Rozkazał pokojowej przynieść nam szybko podwieczorek, mianowicie: jabłek, ciastek, chleba z masłem i orzechów. Poczem wyjął zabawki, zapełniające kącik każdy: bębenki, szable, puszki, armaty, białe bociany, beczące owce i nieznużenie grające pozytywki, z czego okazywało się jawnie, iż był gagatkiem w domu.

Zaledwie jednak ustawiliśmy pułk ołowianych żołnierzy w szeregu, gdy weszła pokojowa z poleceniem udania się do babuni. Gyuri poprostu oparł się rozkazowi. Czego babka chce od niego? Wszakże go dość często widuje. Dziś jest niedziela, dzień wolny, powinna mu przecie pozwolić pobawić się nieco.

Dziewczyna próbowała ująć go przemocą. Wtedy Gyuri wyjął miecz drewniany z pochwy i tak silnie uderzył ją po twarzy, że z płaczem odeszła.

Przeląkłem się okropnie. Wyobraziłem sobie w jednej chwili straszliwy sąd, który się zbierze nad małym złoczyńcą „pochwyci go i powiesi". Wszelako nic podobnego nie nastąpiło.

Owszem niezadługo ukazała się matka Gyuriego z najuprzejmiejszą twarzą a nie rózgą. Miała takie łagodne delikatne rysy, ach! i takie dobre, smutne oczy! Czule prosiła go, żeby poszedł do babki, obiecała mu za to kanarka i całując go rzekła: „Jeżli mię kochasz, będziesz posłusznym". A potem dodała, iż powinien się mię wstydzić, będąc tak upartym.

Słuchałem, stojąc przerażony. Ze mną w domu nie robiono tyle ceregieli.

W końcu obojgu nam dał się uprosić, i delikatna pani zaprowadziła nas przez szereg wspaniałych apartamentów do pokoju babuni.

Była to obszerna, lecz ciemna izba, z kwiecistemi, wybladłemi firankami u okien, staroświeckiemi szafami, oszklonemi i wysokiemi czarną skórą obitemi krzesłami.

Nad czarną skórzaną sofką wisiały portrety pana i pani z odległej epoki. Pan miał na sobie szamerowany krótki węgierski surdut, pani spiętrzoną fryzurę z wstążką na czole.

W głębi pokoju w dużym, toczącym się na kółkach fotelu siedziała siwa staruszka. I ona także po staroświecku była ubraną w lewendowego koloru suknię z szerokiemi fałdami i w wykrochmalonym czepku. Na czole miała zieloną umbrelkę, która prawie zasłaniała jej całe oblicze. Siedziała, oparłszy wychudzone ręce na poręczy fotelu, a gdy drzwi otworzyliśmy, spytała żałosnym tonem:

— „Kto tu?"

Stara panna, długoletnia jej towarzyszka odpowiedziała:

— Gyuri i Maurycy.

— Tak? — odparła uprzejmie i wyraziła żądanie zobaczenia bliżej nas.

Matka Gyuriego zaprowadziła nas ku niej. Oczy babuni były osłabione, przed wieczorem zaledwie postacie odróżnić mogła, zatem położyła nam obydwie ręce na głowach, macając takowe. Rozróżniła nas wybornie. To był Gyuri, to Maurycy. Ow miał gęste kędziory, moja zaś jasnowłosa głowa była gładko ostrzyżoną. Potem ujęła nas za ręce. Cóż za siłę posiadały jeszcze te suche palce! Gyuri nie mógł się z nich wydostać. Musiał stać cicho i z babunią rozmawiać.

Staruszka w szczególnie dobrym była humorze. Pytała mnie o wszystko, co tylko mogłem wiedzieć. Pytała czem będę — syn adwokata? Powiedziałem jej, że chciałbym być w Wiedniu agentem. Znalazła to na swojem miejscu. Zachęcała mnie do nauki, mówiła, iż ma bardzo piękną książkę do czytania, a gdy dobrze się poprowadzę, zapisze mi ją w ostatniej woli.

Gyuri zaczął się kręcić niespokojnie.

— Babcia znowu zeszła do testamentu — możebym mógł pójść bawić się nareszcie.

Dobra staruszka roześmiała się z tej naiwności; nie miała wprawdzie zębów, lecz śmiać się jeszcze mogła doskonale.

Wtem dziewczyna wezwała nas na podwieczorek. Stara panna ujęła poręcz krzesła na kółkach i potoczyła je do jadalnego pokoju, gdzie długi stół filiżankami, bułkami i ciastkami zastawiono.

Zebranie było nader liczne. Ten wszedł z tych, ów z innych drzwi, dość że cały pokój się zapełnił, a wszyscy razem tworzyli rodzinę babuni.

Najstarszy syn jej, poważnie wyglądający mężczyzna z wysokiem czołem i czarnemi oczyma, które mię przerażały, usiadł obok małżonki swojej, łagodnej, uprzejmej matki Gyuriego. Kolega mój posiadał jeszcze starszą siostrę, smukłą, bladą dziewczynę, którą niebawem rodzice mieli umieścić na pensyi, i braciszka u mamki na ręku.

Oprócz tych znajdował się tam młodszy syn babuni, oficer od piechoty; owdowiała synowa z synkiem i rumianą córeczką wyobrażającą sobie, iż skoro podrośnie stanie się także chłopcem. Wreszcie młodszy brat babki pensyonowany kapitan od huzarów z kawałkiem srebra umieszczonego w czaszce i córka jakiejś siostrzenicy, wówczas już przejrzała panna. Jeszcze jedna krewna, jak dowiedziałem się później, była w kuchni. Ta wszelako nigdy nie siadała razem z innymi, ponieważ jej nie lubiono. Ale dlaczego? — nie wiedziałem.

Gdy zajęliśmy miejsca przeznaczone, było nas osób czternaście, a pomiędzy tymi dwie tylko obce: towarzyszka babuni i ja. Wszyscy inni należeli do rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Jak się zdaje, owej atmosfery tryasowej, którą nam obiecywali meteorologowie, tak prędko się nie doczekamy, w każdym razie w roku bieżącym nie może być o niej nawet mowy, choćby było to bardzo pożądanem, aby tak, jak dotąd dokuczały nam zimna, zaczęły się naprzykrzać gorąca, by można nawet w grudniu z lekceważeniem spoglądać na piec bez ognia.

Wprawdzie jacyś tam uczeni stwierdzili, że niektóre gatunki zwierząt posunęły się daleko na północ, a rozmaite ptaki przelotne nie odlatują już od nas na zimę, wierząc że będzie ciepło, nie jest to jednak dowodem, na którym można by polegać. Owszem, przykłady, zaczerpnięte z życia codziennego, każą się spodziewać, że będzie zupełnie inaczej, t. j., że zimno, dokuczające już nam obecnie, da się nam porządnie we znaki. I tak z pomiędzy znajomych kronikarza dwu, jeden wdowiec, drugi stary kawaler, usłali sobie rodzinne gniazdka, co świadczy, iż spodziewają się ciężkiej zimy i radziby ogrzać się nie tylko ciepłem idącem od pieca, ale także rodzinnem, niestety, bez węgli obejść się nie mogącem.

Owe zmiany w świecie zwierzęcym, można sobie wytłómaczyć stosunkami politycznymi, tak dwunożni jak i czworonożni jego przedstawiciele wobec nieustalenia granic poszczególnych państw tracą oryentacyę geograficzną i nie wiedzą, dokąd lecieć lub jak daleko się posuwać. Wolno zresztą Niemcom pchać się ciągle ku wschodowi, wolno i zwierzętom posuwać się na północ.

Kilna w głowę, jeszcze większego, niż owe zimowe gorąca, zabiła nam wiadomość, że ląd stały amerykański posuwa się nieustannie ku europejskiemu i zachodzi nawet obawa zderzenia ich obu. Nie należy się jednak obawiać, aby ta katastrofa nastąpiła gwałtownie i w niedługim już czasie, gdyż, jak obliczono, na posunięcie się o jeden kilometr potrzeba sześć tysięcy lat, czego, choć jest to niczem w porównaniu z wiecznością, najprawdopodobniej nikt z nas współczesnych nie doczeka. Ameryka wiele straci na tem, przestanie bowiem być ziemią obiecaną dla wszelkiego rodzaju defraudantów, nie potrzeba też dodawać, że obudziła ta wiadomość wśród nich ogólną konsternacyę. Jeden z kasyerów zapytywał kronikarza, czy to tylko humbug amerykański, czy też jest coś na tem, otrzymał odpowiedź, aby się uzbroił w cierpliwość i czekał, a sam się o tem kiedyś przekona. Kurczy się wszystko na świecie, kurczy się i ziemia staruszka, a na to nawet Lloyd George nie poradzi. Na tym nowym problemie skorzystamy tyle, że nie będzie potrzeba narażać się na niebezpieczeństwa przy poszukiwaniu bieguna północnego lub południowego, one bowiem same zgłoszą się u nas.

Lloyd George z pewnością nie interesuje się teraz zupełnie owem zbliżaniem się do siebie lądów stałych, gdyż jemu chodzą po głowie przedewszystkiem Turcy z Kemalem baszą na czele. Wielki polityk i dyplomata jest człowiekiem z natury bardzo praktycznym jak zresztą każdy Anglik i to do tego pochodzący z rodziny, poświęcającej się sławetnemu kunsztowi szewskiemu i lubi wyciągać gorące kasztany z pieca, ale broń Boże, nie swojemi rękami. Chciał pognębić Turków i to tak gruntownie, aby już nie wstali, a pomocnym miał mu być w tem król grecki Konstantyn, któremu pokazał zdaleka Konstantynopol i pozwolił się oblizywać w nadziei, że kiedyś zasiądzie na tronie cesarzy bizantyjskich. A ponieważ dziś mania wielkości stała się epidemią, pomyślał sobie Konstantyn, że, skoro Serbia, Rumunia i Czechy, nie mówiąc już o Włoszech, dzięki wojnie tak napęczniały, może i Grecya stać się wielką i rozsiąść się w Europie i Azyi. Posłuchał też wskazówek londyńskich i wziął się do Turków, ci jednak jako nieokrzesani Azyaci, nie chcieli się rozumieć na żartach i dobrali się tak gruntownie do greckiej skóry, aż się samemu Lloydowi Georgeowi żal zrobiło, niestety, po niewczasie. Król Konstantyn powiada sobie, że na radach angielskich wyszedł tak dobrze, jak ś. p. Zabłocki na mydle, a jakiś polityczny dowcipniś dodaje, że grecka rodzina królewska niema szczęścia do małp. Nieboszczyk król Aleksander zginął skutkiem ukąszenia małpy brazylijskiej, król Konstantyn swą śmierć polityczną zawdzięczy posłuszeństwu angielskiej małpie.

Wschodnie wypadki, zupełnie niespodziewane, mogą Europę wtrącić w nowe zawikłania wojenne, które z natury rzeczy musiałyby się najgorzej skończyć dla Anglii, rasa żółta bowiem, zachęcona powodzeniem Kemalistów, może się bardzo łatwo zabrać do wypraszania z Azyi i Afryki nieproszonych gości. Lloyd George który wysuwa zawsze i wszędzie na pierwszy plan swą politykę cieśnin, dzięki swej krótkowzroczności może się bardzo prędko znaleźć w tak wązkiej cieśninie, iż się z niej nie ruszy. Na pamiątkę po wielkości Anglii zostanie wówczas światu jedynie angielska choroba, porter, gorzka wódka, pieprz angielski (którego Lloyd George nam nie żałuje!..) i pigułki Morrissona.

Jest to wprawdzie dopiero muzyka przyszłości, ale niezbyt dalekiej, o ile angielski premier nie zechce rychło zawrócić z obecnej drogi, nie wiodącej do celu, do jakiego zmierza. Jego dyktatura i narzucanie swej woli całemu światu może się skończyć fatalnie dla całej Anglii. Rozumieją to dokładnie nawet i jego rodacy, bardziej niż on, polityczne powściągliwi i patrzący na dalszą metę, rośnie też przeciw niemu w kraju opozycya, jakoś jednak nie może się nikt znaleźć, kto zdecydowałby się skręcić mu kark politycznie, gdy się zaś wreszcie znajdzie, kto wie, czy nie będzie zapóźno. Rozleciały się w gruzy rozmaite kolosy, jak się zdawało, niewzruszalne, dlaczego podobny los nie miałby spotkać i Anglii, będącej wprawdzie kolosem, ale sztucznie i dość niefortunnie sklejonym.

Zanosi się zatem, że może być gorąco na świecie i to nawet zimową porą, ale cóż nam z tego, skoro to stosunkowo daleko od nas i ciepło stamtąd idące, nie da nam się zbytnio odczuć.

Liga Narodów obraduje sobie najspokojniej w Genewie, a jej wielcy znawcy wtrącają nos we wszystko, przedewszystkiem zaś w to na czem się znają jak najmniej. Wprawdzie w postanowieniach Ligi Narodów zdaje się obecnie widzieć więcej powściągliwości niż poprzednio i pewne liczenie się ze zdrowym rozsądkiem, czego dawniej [illegible] było, mimo to przypomina ona jeszcze ogromną radę miejską z Pipidówki, w której zasiadają sami geniusze z Bożej łaski. Bo i proszę powiedzieć, jak może zabierać głos w sprawie litewsko-polskiej dajmy na to delegat Afryki Południowej, nieznający najzupełniej europejskich stosunków. A tacy panowie mają właśnie decydować o losach narodów.

W Warszawie zebrał się Sejm na jesienną swą sesyę, którą ma zakończyć swój doczesny żywot. Będąc w stanie agonii, nie posiada też dawnej energii i werwy, zresztą tak i stronnictwa całe, jak i poszczególni posłowie mają głowy zabite zbliżającymi się wyborami i tem skąd jak największej wyśrubować monety na agitacyę, która, ze względu na wielką liczbę kandydatów i niepojawienie się zakazu gaszenia pragnienia alkoholem i przekonywania wyborców przy kieliszku, zapowiada się bardzo ożywiona. Obiecywano, że skrajna prawica wystąpi na tej sesyi bardzo ostro przeciw gabinetowi prof. Nowaka i, kto wie, czy nie zmusi go do ustąpienia, jak dotąd jest jednak zupełnie cicho. Widocznie premier Nowak znalazł jakiś argument, którym przekonał swych przeciwników, że nie mają racyi. Narodowo demokratyczna prasa występowała przeciw niemu bardzo groźnie, była to zapowiedź burzy, ale tylko w szklance wody.

Schodzący do grobu Sejm ma jeszcze przed sobą do uchwalenia kilka ustaw ważniejszych, między innemi ustawę, nadającą Małopolsce Wschodniej autonomię. I jej obiecywano gwałtowny opór z niektórych stron, dziś słyszymy wokoło, że będzie przyjętą na plenum sejmowem z nieznacznemi tylko zmianami projektu rządowego. Ma także wejść na porządek dzienny ustawa o ochronie lokatorów, właściwie jednak powinna ona nosić miano ochrony kamieniczników ich bowiem interesy ma przedewszystkiem na względzie, posłowie sejmowi, jako sami przeważnie kamienicznicy, nie mogli zapomnieć o swych kolegach, którzy nawiasem mówiąc, byli dotąd nieraz krzywdzeni.

Z ustępującym Sejmem pożegnamy się bez żalu, nie wyprawimy nawet stypy pogrzebowej w Starym Teatrze, którego sala jadalna stała się najciekawszym z zabytków starego Krakowa. Pokazują ją wszystkim obcym o ile gremialnie zawitają nad Wisłę, tu się ich karmi i poi, ale za to muszą wysłuchać różnych przemówień, nie zawsze trzymających się kupy. Ostatnio gościliśmy u siebie młodzież francuską, niebawem ma zawitać wycieczka słuchaczów paryskiej Sorbony, którą niezawodnie przyjmie miasto również uroczyście. Dziwi nas tylko poco właściwie zawiązuje się komitety, mające za zadanie ułożenie programu przyjęcia i podejmowania gości, skoro w rezultacie pokazuje się, że ten program był tak mdły, iż szkoda było czasu na łamanie sobie mądrych główek nad jego ułożeniem. Przekonaliśmy się o tem z racyi pobytu w Krakowie młodzieży francuskiej. Na parę tygodni przedtem czytaliśmy o zawiązaniu się komitetu obywatelskiego celem przyjęcia sympatycznych gości, *post festum*, t. j. w sprawozdaniach z ich pobytu w Krakowie skonstatowaliśmy, iż najważniejszymi punktami programu były obiady w Starym Teatrze. Ładnie to ze strony ojców miasta, że dbają o to, aby przybysze roznieśli po świecie wieści o staropolskiej gościnności Krakowa, ale byłoby również wskazane, aby nie pozostały im w pamięci także i inne mniej przyjemne wspomnienia. Każdego z obcych, który przybywa do Krakowa, uważa się jako ofiarę, przeznaczoną na oskubanie żywcem, a pod tym względem pooają sobie zgodną rękę wszystkie stany, bez różnicy wieku, płci i zawodu. Obcy przybysz, opuszczając Kraków, długo jeszcze czuje w żołądku resztki tych biesiad, jakiemi go podejmowano, przypomina sobie owe wzniosłe, na jego cześć wygłaszane przemówienia, których, choć były w jego ojczystym języku, przeważnie nie rozumiał i powtarza z westchnieniem:

— Drogi ten Kraków, nie tyle może dla serca ile dla kieszeni!...

W porze zimowej będziemy mieć niezawodnie gości z Północy, organizuje się podobno większa wycieczka Eskimosów i Lapończyków, którzy przybędą do nas w celach handlowych, aby zawrzeć układy o dostawę dla Polski letnią porą lodu, wzamian za inne artykuły codziennej potrzeby. Nasz minister handlu, dowiedziawszy się od swych kolegów, że tegoroczne zbiory przedstawiają się pomyślnie, pokryją za potrzebowanie wewnętrzne i zostanie jeszcze nadwyżka, o ile jej Ukraińcy nie spalą, zamierza wydawać pozwolenia na wywóz za granicę wszystkiego, bez czego się możemy obejść, a ponieważ doświadczenie uczy, że potrafimy się obejść niczem, można zatem wywieźć wszystko, aby lichwiarze i paskarze nie narzekali na bezrobocie. Skarb państwowy niewiele na tem zyska, gdyż u nas kalkuluje się wszystko tak, aby tym, którzy mają już dużo, dać jeszcze więcej. Ktoby tam zresztą kłopotał się takiemi drobnostkami, jak braki w skarbie państwowym, ważniejsze, by jednostkom działo się dobrze.

Choć nie wiele miejsca już zostaje, trzeba bodaj tę resztę poświęcić wyborom. W ubiegłym tygodniu wspominaliśmy o jedynastu listach wyborczych w okręgu miasto Kraków, na razie mamy ich już czternaście, a dalszy ciąg jest w robocie. Ogólny entuzyazm w najszerszych kołach i to tak kandydatów na posłów, jak i wyborców, wywołała wiadomość, że Rząd warszawski zdecydował się zakazać sprzedaży alkoholu jedynie w dniach od 1. do 5. listopada i od 10. do 12., zatem przez siedm dni, nie zaś pięć tygodni, jak poprzednio straszono. Agitacya wyborcza może się odbywać zatem bez przeszkód, do 1. listopada kandydatury będą już definitywnie ubite (a niektóre może nawet i obite!...) Im termin wyborów bliższy, tem kandydaci grzeczniejsi i uprzejmiejsi, nieraz zdarza się nawet, że się pierwsi kłaniają na ulicy swym wyborcom. Kandydata na posła łatwo poznać po minie wystraszonej i ciągłem trzymaniu się za kieszeń.

wraz z żoną, przewieziono do szpitala, gdzie niebawem wyzionął ducha.

Po uroczystym powitaniu na dworcu kolejowym przez burmistrza dra Jurkiewicza, starostę Pawlikowskiego i komendanta pułku Monda, udał się Naczelnik Państwa wraz z świtą w samochodach na boisko „Sokoła" gdzie po mszy św. polowej odbyło się poświęcenie sztandaru. Rodzicami chrzestnymi byli: wojewoda stanisławowski Jurystowski z p. Jaruzelską z Załucza, marszałek powiatu Łążyński z p. Mondową i burmistrz dr. Jurkiewicz z p. Jankowską. Po ceremonii poświęcenia radca sądowy Jankowski, prezes Komitetu Obywatelskiego, po stosownej, pełnej patryotyzmu przemowie, wręczył sztandar Naczelnikowi Państwa, ten zaś pułkowi. Na zakończenie odbyła się defilada pułku, która wykazała całą sprawność polskiego żołnierza. Z boiska udał się Naczelnik Państwa do Kasyna Oficerskiego 49. pułku piechoty, gdzie podejmowano go śniadaniem, w którem wzięli udział przedstawiciele wojskowości i zaproszeni goście. Po śniadaniu powrócił na dworzec kolejowy i odjechał do Warszawy.

Uroczystość poświęcenia urządzona dzięki staraniom Komitetu Obywatelskiego, który zajął się ufundowaniem sztandaru, oraz komendanta pułku, podpułkownika Monda, wypadła imponująco i wywarła na uczestnikach głębokie wrażenie.

Jen. Sikorski na manewrach francuskich.

W tegorocznych wielkich manewrach armii francuskiej, jakie odbyły się w czasie od 6. do 18. września b. r. w Bretonii, wziął na zaproszenie francuskiego rządu udział szef polskiego sztabu jeneralnego, jenerał Władysław Sikorski. Jest to jeden dowód więcej francusko-polskiego braterstwa broni, zapoczątkowanego w pierwszych chwilach wybuchu wojny światowej, a obecnie usankcyonowanego oficyalnymi układami. Również i rząd angielski zaprosił jenerała Sikorskiego na jesienne manewry, nasz szef sztabu jeneralnego ma odwiedzić także i Włochy.

Tegoroczne manewry francuskie są pierwszem tego rodzaju przedsięwzięciem wojskowem po wojnie. Nie mają one wcale charakteru spektaklu jakim bywały przedwojenne manewry i opierają się na różnym zupełnie od dotychczasowych planie, wypracowanym przez jenerała de Boissoudy, jącym szereg specyalnych problematów do rozwiązania. Problematy te ustalane były w miarę rozwijania się wypadków przez kierownika manewrów jenerała Boissoudy.

Było to możliwie największe zbliżenie ćwiczeń wojskowych do rzeczywistości wojennej, a nie-



Podróż poślubna króla Aleksandra: W letniej rezydencyi prezydenta Masaryka w Lanach, król Aleksander w towarzystwie swego ministra dworu, Jankowicza i prez. Masaryka obserwuje okolice.

członka Najwyższej Rady Wojennej. Przewodnią ideą ćwiczeń jest, że siła atakująca manewruje zupełnie swobodnie, tylko w ściśle zakreślonych terytoryalnie granicach. Natomiast armia obronna nie ma tej swobody, lecz musi się ściśle ograniczyć do odpierania ataków, przyczem da atakuzmiernie powolne posuwanie się naprzód (o kilka kilometrów w kilku dniach) dało sposobność wypróbowania w praktyce efektów ognia dział i karabinów maszynowych.

W czasie swego pobytu na ziemi francuskiej był jenerał Sikorski przedmiotem gorących owacyi ze strony tamtejszej wojskowości, przybycie jego powitała również serdecznie tak prasa francuska, jak i ludność cywilna, widząc w niem jeden więcej z dowodów coraz ściślejszego zbliżenia się obu narodów. Podczas bankietu, urządzonego w Moaux w ósmą rocznicę bitwy nad Marną, wyróżniano jenerała Sikorskiego tak widocznie, iż podnosi to z naciskiem prasa francuska wszystkich odcieni. Zwracają także uwagę, że odznaczenie polskiego szefa sztabu jeneralnego osobiście przez prezydenta Milleranda ma bardzo doniosłe militarne i polityczne znaczenie.

Podczas pobytu swojego na ziemi francuskiej zasięgali u jenerała Sikorskiego informacyi liczni sprawozdawcy pism tamtejszych. Wywiady te dotyczyły polskich spraw wojskowych, o ile one oczywiście nadają się do podania ich do wiadomości publicznej. Jenerał Sikorski przedstawił obecny stan armii polskiej jako nad wyraz zadawalający, podkreślając energiczną i skuteczną współpracę nad jej wykształceniem oficerów francuskich. Posiada ona swe własne metody wojenne, zbliżone do francuskich, między nią, a armią francuską istnieje ścisła łączność. Jest też armia polska zaopatrzoną dostatecznie we wszelaki materyał wojenny, który uzupełnia się stale, nie szczędząc na ten cel jak najdalej idących ofiar.



Kłopoty tureckie Koalicyi: Mustafa Kemal basza w towarzystwie Ismet baszy, naczelnego wodza wojsk tureckich w Małej Azyi.

Hafciarstwo na Podhalu.

Nasz lud podhalański okazuje bardzo wiele zmysłu artystycznego i poczucia piękna. Widzimy to, patrząc na roboty snycerskie mężczyzn i hafciarstwo, w którem tamtejsze kobiety są prawdziwemi mistrzyniami. Obie te gałęzie przemysłu domowego nie są dotąd należycie wyzyskane, choć w zupełności zasługują na to, mogąc się przyczynić w znacznej mierze do podniesienia dobrobytu ludu wiejskiego, nie znajdującego w pracy rolnej pokaźniejszego zysku. Na zamiłowanie do snycerstwa wśród ludu podhalańskiego zwrócono już dawniej uwagę i, spiesząc mu z pomocą, założono w Zakopanem Szkołę Przemysłu Drzewnego, rozwijającą się z roku na rok coraz pomyślniej. Styl zakopański tak w budownictwie, jak i w rzeźbie, ma już swą wyrobioną markę światową.

Obecnie przychodzi kolej na wydatniejsze zajęcie się hafciarstwem i danie pracującym w tym zawodzie podstaw, które umożliwiłyby im postawienie tej gałęzi przemysłu domowego na takiej wysokości, aby mógł zaspokoić nie tylko własne

potrzeby, ale stać się także przedmiotem zbytu. Znający Zakopane i jego okolice mieli nieraz sposobność podziwiać prawdziwie artystyczne hafty i wyszywania, roboty klockowe i tym podobne, do których góralki mają ogromne zamiłowanie, a nauczyły się ich od swych babek i matek. I hafciarstwo podhalańskie ma swoje rodzime, wybitne piętno, różniące je od innych.



Wielkie manewry armii czeskiej: Prezydent Masaryk (1) w głównej kwaterze w towarzystwie ministra Obr. Kraj. Udržala (2) i senatora Klofacza (3).

Staraniem Towarzystwa Niewiast Polek, rozumiejącego dobrze znaczenie tej gałęzi przemysłu domowego dla naszego ludu, założono w Nowym Targu szkołę haftu „Szarotka“, w której w dniu 10. września b. r. zakończono uroczyście pierwszy czteromiesięczny kurs. Szkoła jest na razie prywatną, nie należy jednak wątpić, że wkrótce będzie upaństwowioną.

Uroczystość zamknięcia pierwszego kursu była połączona z bogatą wystawą rysunków i haftów uczenic, a wzięła w niej udział tłumnie zebrana publiczność i reprezentacya miejscowych władz i zakładów naukowych. Uroczystość zagaił prof. Gołębiowski, nauczyciel rysunków w tej szkole. Pięknie przemówił p. dyr. Zachemski oraz ks. Ryba, który podziękował obecnym za liczne przybycie. Ogólnie podziwiano wyniki czteromiesięcznej pracy uczenic na tym kursie, istotnie, bardzo wydatne i piękne.

Podróż poślubna króla Aleksandra.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma wspominaliśmy o pobycie króla jugosłowiańskiego, Aleksandra, w Mayenbadzie. Podróż ta, pierwsza po ślubie z księżniczką Maryą rumuńską jest zatem podróżą poślubną, a chociaż młody władca Wielkiej Serbii odbywa ją incognito, pod nazwiskiem hrabiego de Avala, nie jest ona pozbawioną charakteru politycznego. Zwłaszcza prasa czeska notuje z wielkiem zadowoleniem, że pierwszym etapem podróży pary królewskiej była właśnie Czecho-Słowacya, co stwierdza ponad wszelką wątpliwość, jak serdeczne stosunki łączą ze sobą oba te państwa.

W czasie swego pobytu w Czechach odwiedził król jugosłowiański także i Pragę, gdzie był gościem prezydenta Republiki, T. O. Masaryka. I te odwiedziny miały charakter czysto prywatny, obeszło się zatem bez oficyalnych przyjęć, nie przeszkadzało to jednak, że właśnie w tym czasie odbyły się w Pradze ważne narady polityczne między drem Beneszem, a premierem Południowej Słowiańszczyzny, Pasiczem, który w kilka dni po przyjeździe króla Aleksandra przybył do Pragi.

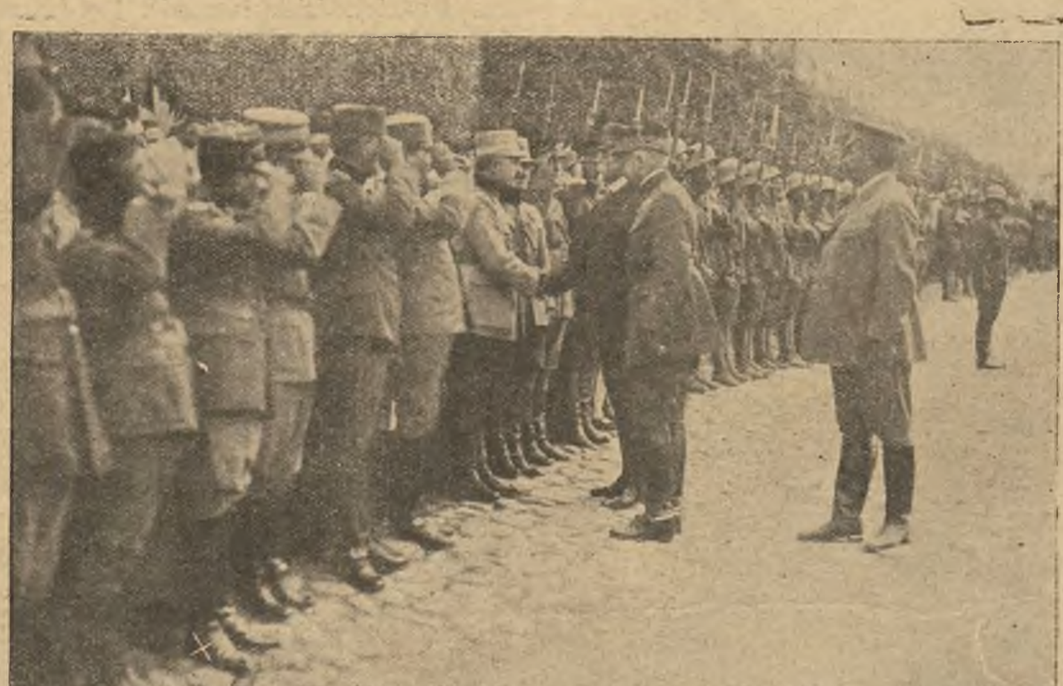
Króla Aleksandra podejmowano w Czechach z szczególniejszą gościnnością, na każdym kroku spotykał się on z objawami sympatyi ze strony czeskiej ludności i sfer oficyalnych, którym wiele zależy na utrzymaniu przyjacielskich stosunków z Południowymi Słowianami, aby w ten sposób utrzymać się na swem kierowniczem stanowisku w Małej Entencie. Oba narody wysilają się też na okazywanie sobie przyjaźni i braterstwa, widzieliśmy to z okazyi pobytu króla Aleksandra w Pradze, a także na zlocie Sokołów w Lublanie, gdzie Czechów wyróżniano na każdym kroku. Polityka czeska dąży stale do tego, aby wśród Słowiańszczyzny zająć to miejsce, jakie niegdyś starała się zdobyć dla siebie carska Rosya, a idee panslawizmu krzewione są obecnie z szczególniejszą pieczołowitością w Pradze.

Kłopoty tureckie Koalicyi.

Lloyd George, patrząc obecnie na skutki swej nieopatrznej polityki na Bliskim Wschodzie, może sobie z czystem sumieniem powtórzyć polskie przysłowie: „Nie miała baba kłopotu...“ Ofiara zaś



Wielkie manewry armii czeskiej: Jenerał francuski Mittelhauser daje objaśnienia prezyd. Masarykowi podczas manewrów.



Wielkie manewry armii czeskiej: Przedstawiciele wojskowi obcych państw w rozmowie z prezydentem Masarykiem.

jego, król Konstantyn, doszedł zapewne do smutnego przekonania, że nie opłaci się wysługiwać innym i nie zawsze można wierzyć obietnicom potężniejszych od siebie.

Celem polityki Lloyda Georgea było zupełne wysiedlenie Turków z Europy i przeniesienie kalifatu do Arabii, narzędziem, przy pomocy którego miano tego dokonać była Grecya, a ta spodziewała się przy tej sposobności upiec i własną swą pieczeń. Przeliczono się jednak, gdyż „chory człowiek z nad Bosforu“ dał najniespodziewaniej znaki nie tylko życia, ale i pełnego zdrowia. Wojska Kemala baszy zniszczyły armię grecką i unieruchomiły ją na dłuższy czas, w następstwie czego rząd angorski, zamiast przyjąć warunki, jakie mu Europa podyktuje, stawia swoje, to jest prócz odzyskania Małej Azyi, zwrot Konstantynopola i Tracyi po rzekę Maricę wraz z Adryanopolem.

Oceniając należycie grozę położenia, zebrali się alianci w Paryżu, gdzie w myśl rad francuskich zgodzano się na zwołanie konferencyi do Wenecyi, gdzie mocarstwa mają zapośredniczyć w przeprowadzeniu ugody między Grecyą a Turcyą. Ma to nastąpić bardzo rychło, gdyż ze Wschodu wyłania się dla Europy nowe widmo... Rosya sowiecka ofiarowała się Turcyi angorskiej z najdalej idącą pomocą i poparciem. Anglia, która zrzekła się już swych projektów, Francya i Włochy żądają od

Kemala baszy zaprzestania kroków wojennych, nienaruszenia strefy neutralnej i zagwarantowania wolności cieśnin pod opieką Ligi Narodów obiecując w zamian Konstantynopol i Tracyę z Adryanopolem. Ale Kemal basza zna dobrze przewrotność europejskiej dyplomacyi i bardzo sceptycznie zapatruje się na te propozycye, uważając, może i słusznie, że poza niemi kryje się chęć zyskania



Z teatru: Seweryn Michałowski, fenomenalny deklamator kabaretowy, obecnie artysta „Bagateli".

tylko zwłoki, aby Anglia mogła tymczasem skoncentrować poważniejsze siły tak lądowe jak morskie. Do Małej Azyi wysłano z Paryża jako nadzwyczajnego posła p. Franklina, który swojego czasu przeprowadził francusko-turecki układ w sprawie Cylicyi i doprowadził do zbliżenia między obu państwami.

Wielkie manewry armii czeskiej.

Zreorganizowana armia czeska, zostająca pod kierunkiem Misyi wojskowej francuskiej, z ramienia której jest obecnie jenerał Mittelhauser szefem jeneralnego sztabu czeskiego, odbyła w pierwszej połowie września swoje wielkie manewry, zakrojone na poważną skalę. Jako takie były one pierwszymi w samodzielnej Czecho-Słowacyi, a wyniki ich przeszły, jak zapewniają sprawozdawcy fachowi pism zagranicznych, wszelkie oczekiwania. Czeska armia tak jakościowo, jak i ilościowo nie pozostawia nic do życzenia, zaopatrzoną jest bardzo obficie we wszelki materyał wojenny, a jeneralny sztab dokłada starań, aby jej przyswoić wszystkie najnowsze zdobycze nowoczesnej techniki wojennej. Spotykaliśmy się już nieraz z wzmiankami na ten temat, podnoszono z naciskiem wszystkie w tym kierunku usiłowania, szczególniej zaś nadzwyczajną pieczołowitość, jaką otacza się lotnictwo, mające w przyszłej wojnie odegrać główną rolę. Wogóle Czesi na armię pieniędzy nie żałują, utrzymania jej w należytym stanie wymagają zarówno ich stosunki wewnętrzne, jak i polityka zagraniczna, dążąca do zdobycia Czechom pierwszego miejsca w Europie Środkowej.

Tegoroczne wielkie jesienne manewry armii czeskiej, w których wzięły udział wszystkie gatunki broni, odbyły się pod kierunkiem szefa sztabu jeneralnego, jenerała Mittelhausera, a w obecności przedstawicieli wojskowych państw zaprzyjaźnionych, Anglii, Francyi, Polski, Jugosławii, Szwajcaryi, Japonii i Rumunii. Pod koniec manewrów przybył również prezydent Republiki, T. O. Masaryk, który wyniki ich śledził z widocznem zadowoleniem, a kierownictwu wyraził swe pełne uznanie. Stwierdzono nie po raz pierwszy, że szkoła francuska, według której prowadzone jest kształcenie armii czeskiej, okazuje znaczną wyższość ponad angielską, a nawet ponad tak osławioną do niedawna pruską.

Jeśli pełne pogotowie wojenne ma być w myśl starej reguły zapewnieniem pokoju, w samej rzeczy możemy spać spokojnie, jakże jednak wobec tych postępujących ciągle naprzód zbrojeń dziwnie przedstawia się zapewnienie, że wojna światowa uwolni nas raz na zawsze od zmory militaryzmu, dającego się tak we znaki całej ludzkości.

Szkoła fryzyerska we Lwowie.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma wspominaliśmy o usiłowaniach przełożeństwa lwowskiego Stowarzyszenia fryzyerów o zapewnienie młodemu pokoleniu fryzyerskiemu należytego teoretycznego i praktycznego wyszkolenia. Ku temu celowi służy dla młodszych pracowników Szkoła, gdzie nabywają wykształcenia ogólnego, dla czeladników zaś Kursa zawodowe, dające sposobność praktycznego zapoznania się z tem wszystkiem, co każdemu fryzyerowi, chcącemu iść z postępem i zadowolić swą klientelę, jest potrzebne do wykonywania swego zawodu.



Z teatru: Adam Kopciuszewski, pierwszy baryton opery wileńskiej.

Wówczas podaliśmy fotografię, przedstawiającą uczestników Kursu i jego kierowników, dziś zamieszczamy grupę nauczycieli i uczniów Szkoły fryzyerskiej, liczącej ponad dziewięćdziesięciu uczniów, a dzięki umiejętnemu i fachowemu kierownictwu rozwijającej się bardzo pomyślnie.

Z TEATRÓW

Jeden z nielicznych polskich barytonistów, odznaczający się niezwykle dźwięcznym głosem, nie pozbawionym przytem ekspresyi i dynamicznej siły,



Szkoła fryzyerska we Lwowie: Kierownictwo, nauczyciele i uczniowie. (fot. M. Münz, Lwów).

to młody artysta **Adam Kopciuszewski,** którego krakowska publiczność miała już sposobność poznać w zeszłym sezonie operowym.

Adam Kopciuszewski, uczeń znakomitego pedagoga Adama Ludwiga, rozpoczął karyerę śpiewaczą w r. 1902 w Poznaniu, poczem zaangażowany został do krakowskiej opery. Na obecny sezon został p. Kopciszewski zobowiązany dla opery Wileńskiej.

* * *

Scena ma nieraz do czynienia z dziwnymi fenomenami. Widzieliśmy stare, zasłużone śpiewaczki, które w dramacie próbowały po raz pierwszy swych sił „młodocianych" — z niezłym nawet wynikiem. Widzieliśmy cudowne dzieci i cudowniejsze jeszcze staruszki...

Niedawno temu atoli ujrzeliśmy prawdziwy fenomen: Bezsprzecznie dziś najznakomitszego deklamatora estradowego, który jednym zamachem zrobił ryzykowny skok z estrady — na scenę. By skok taki się udał, trzeba dobrej trambuliny, a tą jest talent niepospolity, oryginalny, talent biorący sam z siebie i produkujący w taki sposób, w jaki dotychczas ani na estradzie, ani na scenie nie widzieliśmy.

Seweryn Michałowski, o którym mówimy, pracował już poprzód na scenie (w Łodzi za dyrekcyi ś. p. Andrzeja Mielewskiego) — dziś syt sławy i laurów estradowych, wraca na łono polskiej sceny.

K. Kr.



Zgon wybitnego czeskiego publicysty: Dr. Serwacy Heller, wydawca *„Narodnich Listów"*.

Zgon wybitnego czeskiego publicysty.

Czeska narodowa demokracya, grupująca się koło *„Narodnich Listów"*, poniosła ciężką stratę przez zgon jednego z najwybitniejszych swych działaczy, dra Serwackiego Hellera, zmarłego w dniu 2. września b. r. w siedmdziesiątym siódmym roku życia w Kissingen.

Dr. Heller, znany szeroko w kraju i za granicą polityk, dziennikarz i powieściopisarz, należał pierwotnie do partyi młodoczeskiej, poczem przeszedł do obozu narodowo-demokratycznego i objął wydawnictwo *„Narodnich Listów"*, które prowadził przez lat pięćdziesiąt. Był to jeden z najgorliwszych apostołów panslawizmu, widzącego stolicę Słowiańszczyzny w Petersburgu, jego głównie dziełem było przeszczepienie się i zaaklimatyzowanie się oryentacyi rosyjskiej na czeskim gruncie Stosunki rosyjskie znał dobrze, one też głównie stanowiły temat jego powieści, z których „Król stepu" i „Salomonida" zyskały sobie nadzwyczajną popularność wśród czeskiego społeczeństwa. Jako „carochwalca" i rosyjski panslawista nie odnosił się dr. Heller zbytnią życzliwością do Polaków, uznając braterstwo Słowian jedynie w myśl intencyi caratu.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego